ROZMAITOSCI
WARSZAWSKIE.

Ner 82. — DODATEK DO KORRESPONDENTA. — 1834.

MAŁY ROMANS
BARDZO HISTORYCZNY, z 1834.

Rozdział I.

— Ah! jak ona jest piękną! jestem pewny—że ją znasz.

Jeżeli kiedy letnią porą zdarzyło ci się po godzinie 6tej w wieczór wmieszać się między rój elegancki szerokiej ulicy ogrodu Saskiego, gdzie moda sprowadza wszystkie piękności, a gęstość drzew ocienia;

Albo jeżliś wieczorem późnym szedł od figury Zygmunta na Nowy Świat, spotykając tłum powracających pięknych kobiet i naszych elegantów; jeżeliś był w ogrodzie wód sztuczno-mineralnych, w botanicznym lub w Łazienkach; w jednem z tych miejsc, pomiędzy tym parterem młodych, w białych ubiorach, panienek, młodych zalotnych mężatek, słodkich mamuniek; jeżeli masz oko wprawne, uważające, ciekawe widzieć: te świeże twarze, te wysmukłe figurki; jeżeliś przeglądał te różno-farbne grupy, ubarwione jak kwiaty; jeżeliś zgłębił ten ruchomy las pięknych i pięknie ubranych kobiet, to ją widzieć tam musiałeś.

— Ale kogo?

— Tę panienkę, przed której świeżą i ulotną postacią, przed tylą wdziękami, przed tym kształtem figury tak lubieżnie zgrabnej, tej twarzy odznaczającej się dowcipem, przed tym uśmiechem delikatnym, tem spojrzeniem tak czułem, mimowolnie musiałeś stanąć jak wryty, i wyrzec głośno: »Ah! jak ona jest piękną!« Takie słowa damy zawsze słyszą... Ona się zarumieniła z rozkoszy, piękna mama się rozśmiała, a roztropna i uważająca ciocia, która szła za nią, swemi przychylnemi paluszkami poprawiła chusteczkę bareżową, z którą na pięknych ramionach tej młodej trzpiotki igrał zefirek. To jest Anioł, to pokusa, to miłość sama... ta dziewczyna! Ile to z tych długich rzęsów, z tych delikatnych ustek, jaśnieje dowcipu, wesołości, ślachetności. Nie możesz sobie nic piękniejszego wyobrazić, powiem ci jej imię... tylko żebyś mię nie zdradził... nazywają ją Amandą.

Rozdział II.

Ona jest na wydaniu..!

— O! już widzę, że chcesz lecieć, aby upaść do nóg przyjemnej mamie i szukać protekcyi cioci... Zaczekaj! nie znasz jeszcze, jak tylko część jej przymiotów zachwycających, to jest: jej piękną figurę, jej dowcipne spojrzenie i jej gustowny ubiór. Oh! ale to nie wszystko. Ta panienka ma inne zalety.

Amanda jest to klejnot, jest to dyjament, wypolerowany jak najlepszą edukacyją zwyczajną i wielkiego świata. Na sławnej pensyi, której ona była zaszczytem i najpiękniejszą ozdobą, otrzymała wszystkie wieńce i nagrody za śpiew,

taniec, wymowę i poezyją, oraz mimikę, czyli sztukę mówienia oczyma i twarzą, ponieważ na tej pensyi grywano także komedyje. Słowem mówią: Amanda jest to cud świata. Ona zna wszystkie dzieła Walter-Scota, Byrona, Coopera, Sainte-Beuve i Lamartina; jej umysł całkiem przeszedł romantyzmem. Ona mało co czytała Rassina, Fenelona wcale nic, a dzieł polskich autorów nie było u mamy. Do tych wszystkich pięknych przymiotów dodać należy, że to dobre dziecko posiada jeszcze, jak wszystkie piękne panny, szczególniejszy dar dodania ubiorem wdzięku piękności i jakiejś okazałości zalotnej. Jeżeli tedy nie przyznasz, że z tylą zaletami dowcipu, wdzięków i uczuć, jest ona jedną z najdoskonalszych panienek na wydaniu, to nie jesteś godzien, aby jej powabny uśmiech, jej miłe spojrzenie, przebiegając tłok wielbicieli, przez przypadek, szczęście, roztargnienie, albo kaprys, napotkał twoje serce... Ale nie daj się złapać!... ostrzegam ciebie.

Rozdział III.

Amanda idzie za mąż...

— Co?... o Nieba!

— Nie rozpaczaj tak prędko, jest to jej kuzyn, który przybył ją zaślubić, i przybywa prosto z prowincyi.

— Czy go tu licho przyniosło!... O szczęśliwy kuzynie! Któż on jest?

— Czekaj! wolno! już widzę, że przez przypuszczenie z powodu pokrewieństwa uważasz go, że to jaki junak, bohater nowej fabryki, wyniosły, fanfaron?... Nic z tego. Jest to sobie człowiek prosty, młody, skromny, ślachetny, grzeczny, który znał swego ojca, kochał swoją matkę, obdarzony zdrowym rozsądkiem, dość przystojny, ale bez wąsów i faworytów; posiada języki, i tak wychowany, że od biedy może się mieścić w dobrem towarzystwie, jednakże zawsze jest niższym w stosunku, od młodzieży naszego wieku!

Wyobraź sobie, tak jest prosty i naiwny, że zdejmuje kapelusz, nawet przed kobietą, a myśli, że miłość powinna się wyrażać jak za czasów kochanków Tibulla i Owidijusza: przez skromny rumieniec, bojaźliwe spojrzenie i czuły szacunek...

Ale można mu to darować, zważając, że ten postęp oświaty nie może na prowincyi iść z takim pędem, jak w stolicy. Ażeby jednak zagładzić ten brak nieromantycznego wychowania, przywiózł on z sobą, dla złożenia u nóg kochanej kuzynki i w dowodach bardzo klasycznych, sto tysięcy czystej intraty, na pięknych dobrach, po ojcu zostawionych, serce niewinne i— swą pierwszą miłość.

Z tego tedy względu, był przyjęty jak Książę, ale Książę, którego dobrze przyjmują.

Rozdział IV.

»Jak ona jest piękną!...« Zawołał kuzynek, skoro ujrzał swoją narzeczoną, i prawie cały dzień pierwszy przepędził o nóg jej, powtarzając niewyraźnie: »Kocham cię!...« a niekiedy przejęty zapałem najszczerszej miłości wykrzyknął: »O Boże! jak są piękne te warszawskie panienki!...« Do same, nocy był fetowany, robiono mu honory, jako panu młodomu, i cały ten dzień był dla niego najprzyjemniejszym w życiu.

Nazajutrz panienka okazała wszystkie swoje talenta. Kanarki i słowiki nigdy nie miały głosu tak lekkiego i czystego, jak śpiew Amandy. Zefir zdawał się unosić palce jej po białych klawiszach... żadna tancerka nie miała tyle zręczności i przyjemności w tańcu... nigdy wyborny ołówek, ani delikatny pędzel w ręku najlepszego artysty, nie był tak posłuszny do

przeniesienia na papier tajników natury; wszystko to jej szło z największą łatwością.

Prawda, że skromny kuzynek wolałby, ażeby niektóre *tajniki natury* były pod skromniejszą zasłoną, jak pod okiem panny, ale mu powiedziano, że to taki zwyczaj, że to są objekta sztuki, rzecz naukowa, każdy to widzi, zwyczaj stanowi prawa. Mniejsza o objekta sztuki, ale nad nauką kuzynek rozpływał się z rad

O gospodarstwie nie było wcale wzmianki w tym dniu.

Nazajutrz pogoda pyszna kazała przejechać się do Wilanowa. Jechano w otwartym powozie; bareże, gazy i wstążki, wzdęte wiatrem i biegiem powozu, unosiły się nad jej głową w formie tęczy. Dziewczyna była boginią. Mnóstwo młodzieży z wielkiemi i małemi faworytami, pieszo, w powozach i konno, oddawało jej ukłony, niektórzy z nich, jadący konno, przybliżali się do powozu, aby powiedzieć słówko lub rzucić kwiatek i otrzymać nawzajem ukłon, rzut oka, lub uśmiech Amandy; jej spojrzenia, rozognione rumieńcami twarzy, ciągle zwracane były na przejeżdżających.

Ah! mamo! młody Książę. — Ukłoń się temu kawalerowi.— Dzień dobry Hrabio.— Alfred jak pięknie siedzi, a Izydor, jak mu dobrze z tym kijem na koniu. — Mamo, ten piękny śpiewak, niech go mama prosi na obiad. — Baron nam się kłania.— *Apropos!* masz Pan swego kasztanka?— O dla Boga. — Stój... Albert, rękawiczka mi upadła.— Pardon maman!.. Żaden z młodzieży nie przejechał koło nich, aby nie odebrał ukłonu od Amandy. Ej, ej! myślał sobie kuzynek, zdaje mi się, że moja kuzyneczka za wiele zna pięknej młodzieży, ale to zapewne zwyczaj warszawski;.. na prowincyi to człowiek dzikim się staje... a potem, kto jest tak piękny, czyż może przejechać niepostrzeżony?...

Jednakże kuzynek zaczął się trochę zamyślać . . . ale zawsze kochał; ona była tak piękną!

(*Dokończenie nastąpi.*)

Szczególna przyczyna pojedynku.

Dziennik *l'Industrie*, wychodzący w Liege, opowiada następujące zdarzenie: »Przed kilku dniami, u jednego z naszych najlepszych chirurgów staje nieznajomy człowiek, zapytując go, czy może podjąć się wszelkiego rodzaju operacyi. — »Tak jest, Panie, ale pragnę wszelako wiedzieć, jakato ma bydź operacyja.« Nieznajomy unikał odpowiedzi, oświadczył tylko chirurgowi, że jutro bardzo rano zajdzie po niego pojazd, że go tylko o kilka mil od Liego zawiezie, i prosił, aby mu usług swych nie odmawiał.

O naznaczonej godzinie pojazd przybywa. W pojeździe, oprócz naszego nieznajomego, siedzi jeszcze jedna osoba, a sądząc po znakach oddawanego jej uszanowania, bardzo znakomita. Chirurg nasz wsiada i pojazd rusza natychmiast. Zrazu głuche milczenie, tylko jeden na drugiego się ogląda; później obojętnych kilka zapytań i odpowiedzi. Nareszcie osoba, zdająca się główną w tej intrydze grać rolę, przeprasza Chirurga za dotychczasową tajemnicę i za tak nagłe uwiezienie go z sobą. »Czas już, rzecze mu, abyś Pan wiedział, gdzie jedziesz i o co rzecz idzie. — Bydź nawet może, że Panu zupełnie nieznajomym nie jestem. Pisałem kilka dzieł, które mile od publiczności były przyjęte, i imię Księcia Pückler-Muskau może doszło WPana.«

»W jednym z moich romansów przedsięwziąłem skreślić obraz człowieka, gwałtownym poddanego namiętnościom, wpadającego w błędy, nieodzowne od tego położenia; a że nawet bohater romansu imię mieć musi, dałem mu je od upodobania.

Dziwnem losu zrządzeniem, którego przewi-

dzieć nie podobna, znalazła się gdzieś w Niemczech na północy osoba, toż samo nosząca nazwisko(*), której dzieło moje w oczy wpadło, i która marzenia mej wyobraźni wzięła za najdotkliwszą osobistość.

Byłem naówczas w Paryżu, kiedy mnie drogą dyplomatyczną doszły jego skargi. — Odpisałem, wystawiając rzecz całą w prawdziwem jej świetle; nic to wszystko nie pomogło, zażądano satysfakcyi, i oto właśnie udaję się do A.., gdzie zapewne poraz pierwszy i ostatni przeciwnika mego zobaczę.« — Jakoż pojazd przybył na oznaczone miejsce; przeciwnik wyprzedzić się nie dał. Był to człowiek ślachetnej postawy, pełen powagi i grzeczności.— Po pojedynku, w którym przeciwnik Księcia lekko został raniony, nastąpiło jak najlepsze porozumienie i zgoda, a współzawodnicy nasi, z których każdy przeszło o sto mil przyjechał dla zadosyć uczynienia śmiesznemu zwyczajowi, a raczej panującej dziś modzie czasu, punktem honoru zwanej, powrócili, jeden do Paryża, drugi do Berlina, ciesząc się zapewne, że żywi i cali wyszli z tego śmiesznego pojedynku.

MUZYKA DZWONOWA.

Wyjątek z podróży do Holandyi, Johna Carr.

Delft, jest to wielkie i smutne miasto, milczące jak monaster jakowy, wyjąwszy jednę tylko ulicę, na której ciśnie się nieprzebrany tłum ludu, a która prowadzi na wielki trakt za miasto. Dzwony nowo wybudowanego tam kościoła są w niezmiernej liczbie: składają się ze czterystu do pięciuset dzwonków, sławnych przyjemnością swojego głosu. Ten rodzaj dzwonowej muzyki znany jest jedynie w Holandyi. Nadają ruch tym dzwonkom za pomocą jakowegoś gatunku klucza, któren ma z niemi komunikacyją, jak w organach lub klawikordzie klawisze ze stronami; grający musi bardzo długo uczyć się wykonywania tej osobliwszej muzyki. Za pomocą pedałów, mających styczność z największemi dzwonami, może doskonale utrzymać bas w najtrudniejszych i najbardziej urozmaiconych sztukach, grając obudwoma rękami na szerokich i wystających klawiszach, które dość są od siebie odległe, aby mogły być silnie i z pośpiechem uderzane, bez żadnego niebezpieczeństwa napotkania obok przyległych. Grający ma u każdej ręki mały palec mocno skórą obwinięty, dla uchronienia się od boleści, którą inaczej sprawiłoby uderzanie; niektóre bowiem z klawiszów więcej niżeli funt ważą, dla wydania mocniejszego odgłosu. Grający może wykonywać sztuki na trzy ręce: obie ręce grają na zwierzchnich klawiszach, a nogami wybija takt na pedałach. Dzięki temu wynalazkowi! miasto całe może używać przyjemności muzyki, nie ruszywszy się z miejsca; zapewne to w celu oszczędzenia czasu, przemysł, cechujący naród holenderski, wymyślił tę przyjemną rozrywkę dla całego ogromu ludności, nie odrywając jej ani na chwilę od prac jej zwyczajnych, którym się tak gorliwie oddaje.

Gdym nazajutrz po mojem przybyciu przebudzony został dźwiękiem tych dzwonów, mniemałem słyszeć łagodne głosy harf anielskich, unoszące się w powietrzu.

S z a r a d a.

W drugiem wraz *z pierwszem*, cierpienia,
Radość, nadzieje, złudzenia,
Póki nie zamknę powieki,
Chciałbym zatopić na wieki;
Trzecie jest to zwierzę znane,
I na pokarm używane.
Wszystko na nauki niwy,
Światło potoki zlało,
I przez swój pomysł szczęśliwy,
Nowe nam światy wskazało.

(*) Pruski Pułkownik Kurssel.